

J e a n P a u l S a r t r e

W obronie intelektualistów¹

Co to takiego intelektualista?

Gdyby zważać tylko na stawiane im zarzuty, trzeba by uznać, że intelektualisci są wszystkiemu winni. Jest zresztą rzeczą uderzającą, że te zarzuty są prawie wszędzie takie same. (...) Czy można, mimo zawartych w tych zarzutach sprzeczności, znaleźć ich wspólny mianownik? Tak. Powiedzmy, że wszystkie one odsyłają do jednej obiekcji zasadniczej: *intelektualista to ktoś, kto wtrąca się do rzeczy, które go nie dotyczą*, i kto rości sobie pretensje do kontestowania całości otrzymanych prawd i związanych z nimi zachowań w imię jakiejś globalnej koncepcji człowieka i społeczeństwa – koncepcji dziś niemożliwej, więc abstrakcyjnej i fałszywej, ponieważ społeczeństwa wzrostu określają się przez niebywałe zróżnicowanie sposobów życia, funkcji społecznych i konkretnych problemów. Otóż *jest prawdą*, że intelektualistą jest ktoś, kto wtrąca się do tego, co go nie dotyczy. Jest to tak bardzo prawdą, że słowo „intelektualista” z całym jego negatywnym sensem zostało u nas spopularyzowane w czasie sprawy Dreyfusa. Wedle antydreyfusistów uniewinnienie lub skazanie kapitana Dreyfusa dotyczyło tylko sądów wojskowych, a ostatecznie Sztabu Głównego, podczas gdy dreyfusiści, stwierdzając niewinność oskarżonego, wykraczali *poza swoje kompetencje*. Pierwotnie więc ogół intelektualistów jawi się jako grupa rozmaitych ludzi, którzy zdobyli pewien rozgłos dzięki pracom związanym z wykorzystaniem inteligencji (w dziedzinie nauk ścisłych, nauk stosowanych, w medycynie, literaturze itd.) i którzy *nadużywają* tego rozgłosu, by wyjść poza swoją dziedzinę i krytykować społeczeństwo oraz istniejącą władzę w imię całościowej i dogmatycznej (mętnej lub wyraźnej, moralizatorskiej lub marksistowskiej) koncepcji człowieka.

¹ Fragment eseju *Plaidoyer pour les intellectuels* (*W obronie intelektualistów*), na który składają się wykłady wygłoszone przez Sartre’a w Japonii (Tokio i Kioto) jesienią 1966 roku; przekład za: J.P. Sartre, *Situations philosophiques*, Gallimard, Paris 1990.

Jeżeli chcecie przykładu takiej pospolitej koncepcji intelektualisty, to powiem, że nie nazwie się intelektualistami uczonych, którzy pracują nad rozbiciem atomu, aby udoskonalić broń dla potrzeb wojny atomowej: są to naukowcy i tyle. Ale jeżeli ci sami naukowcy, przerażeni niszczycielską mocą pocisków, które pozwalają wyprodukować, zbierają się i podpisują manifest, aby ostrzec opinię publiczną przed użyciem bomby atomowej, stają się intelektualistami. Albowiem: 1) wykraczają poza swoje kompetencje: produkowanie bomby to jedno, a ocena jej użycia to całkiem coś innego; 2) nadużywają swojej sławy lub kompetencji, jaką się im przypisuje, aby zadać gwałt opinii, maskując tym samym nieprzekraczalną przepaść, jaka dzieli ich wiedzę naukową od oceny *politycznej*, którą *na podstawie innych zasad* formułują na temat konstruowanej przez siebie broni; 3) nie potępiają użycia bomby dlatego, że stwierdzili w niej jakieś wady techniczne, lecz w imię wysoce wątpliwego systemu wartości, w którym najwyższą normą jest poszanowanie ludzkiego życia.

Ile są warte te zasadnicze pretensje? Czy odpowiadają rzeczywistości? Nie możemy tego rozstrzygnąć, nie próbując najpierw się dowiedzieć, *czym jest intelektualista*. (...)

W nowoczesnych społeczeństwach podział pracy pozwala przydzielić różnym grupom rozmaite zadania, których całość tworzy *praxis*. A w kwestii, która nas tu interesuje, pozwala stworzyć specjalistów od wiedzy praktycznej. Innymi słowy, dzięki tej szczególnej grupie i w niej *odślanianie*, które jest momentem działania, zostaje wyodrębnione i ustanowione jako dziedzina w sobie. Cele są określone przez klasę panującą i urzeczywistniane przez klasy pracujące, ale badanie środków zostaje powierzone grupie techników należących do tego, co Collin Clarke nazwał trzecim sektorem, będących naukowcami, inżynierami, lekarzami, prawnikami, profesorami itd. Jako jednostki ci ludzie nie różnią się od innych ludzi, ponieważ każdy, niezależnie od tego, co robi, odślania i zachowuje byt, który zarazem przekracza przez swój projekt. Jednak przyznana specjalistom wiedzy praktycznej funkcja społeczna polega na krytycznym badaniu pola możliwości i ich zadaniem nie jest ani ocena celów, ani, w większości przypadków (są wyjątki, na przykład chirurg), ich realizacja. Ogół tych techników praktycznej wiedzy nie tworzy jeszcze intelektualistów, ale to spośród nich – i znikąd poza tym – rekrutują się ci ostatni. (...)

Rekrutują się oni zawsze spośród techników wiedzy praktycznej. Ale aby ich zdefiniować, trzeba wymienić *obecne* cechy tej kategorii społecznej.

1) Technik wiedzy praktycznej odpowiada na zapotrzebowanie z *góry*. Nie należy już na ogół do klasy panującej, ale to ona określa go *w jego bycie*, decydując o *miejscach pracy*: stosownie do natury swojego przedsiębiorstwa (na przykład zależnie od fazy industrializacji), stosownie do potrzeb społecznych pojmowanych wedle *jej* szczególnych opcji i *jej* interesów (społeczeństwo *po części* wybiera liczbę swoich zmarłych, zależnie od części wartości dodatkowej przezna-

czanej na rozwój medycyny). Miejsce pracy, jako stanowisko, które można objąć, i jako rola, którą można odegrać, określa *a priori* przyszłość człowieka abstrakcyjnego, ale *oczekiwanego*: tyle a tyle miejsc pracy dla lekarzy, dla nauczycieli itd. na rok 1975, co dla całej kategorii młodych ludzi oznacza jednocześnie strukturację pola możliwości, rodzaj studiów, które należy podjąć, a z drugiej strony – *przeznaczenie*. Istotnie zdarza się często, że miejsce pracy czeka na nich jeszcze *przed* ich narodzinami jako ich *byt społeczny*, będący wszak niczym innym jak jednością funkcji, jakie będą musieli wypełniać *dzień po dniu*. W ten sposób klasa panująca decyduje o liczbie techników wiedzy praktycznej ze względu na *zysk*, który jest jej najwyższym celem. Jednocześnie decyduje o tym, jaką część wartości dodatkowej przeznaczy na ich pensje, mając na uwadze wzrost przemysłowy, koniunkturę, pojawiające się nowe potrzeby (produkcja masowa wymaga na przykład znacznego rozwoju reklamy, stąd stale rosnąca liczba techników-psychologów, statystyków, twórców haseł reklamowych, artystów mogących je *zrealizować* itd., natomiast stosowanie *human engineering* zakłada bezpośredni udział psychotechników i socjologów). Dzisiaj sprawa jest jasna: przemysł chce położyć rękę na uniwersytecie, aby zmusić go do porzucenia przestarzałego humanizmu i zastąpienia go przez specjalistyczne dyscypliny, które będą mogły dostarczać przedsiębiorstwom specjalistów od testów, od zarządzania kadrami, od *public relations* etc.

2) Również ideologiczne i techniczne wykształcenie specjalisty od wiedzy praktycznej jest określone przez system ustanowiony odgórnie (wykształcenie podstawowe, średnie, wyższe) i z konieczności *selektywny*. Klasa panująca kieruje nauczaniem w taki sposób, aby dostarczyć specjalistom: a) ideologii, którą uznaje za odpowiednią (na poziomie szkolnictwa podstawowego i średniego; b) wiedzy i umiejętności praktycznych, które uzdatnią ich do wykonywania powierzanych im funkcji (na poziomie szkolnictwa wyższego).

Naucza ich ona zatem *a priori* dwóch ról: czyni z nich jednocześnie specjalistów od badań i służących hegemonii, to znaczy strażników tradycji. Ta druga rola ustanawia ich – by użyć wyrażenia Gramsciego – jako „funkcjonariuszy nadbudowy”. Jako tacy otrzymują oni pewną władzę związaną z wykonywaniem podrzędnych funkcji w hegemonii społecznej i w rządzie politycznym (badacze posługujący się testami są policjantami, profesorowie selekcyonerami itd.). Stają się oni *implicite* odpowiedzialni za przekazywanie wartości (które w razie potrzeby mogą trochę przekształcić, dostosowując je do wymogów aktualności), a przy okazji za zwalczanie, za pomocą swojej technicznej wiedzy, argumentów i wartości przywoływanych przez inne klasy. Na tym poziomie są oni agentami ideologicznego *partykularyzmu*, czasem jawnego (jak w przypadku agresywnego nacjonalizmu myślicieli nazistowskich), czasem niejawnego (jak w przypadku humanizmu liberalnego, czyli fałszywej uniwersalności). Warto odnotować, że na tym poziomie powierza im się odpowiedzialność za coś, co ich nie dotyczy. Nikomu jed-

nak nie przyjdzie na myśl, aby nazywać ich *intelektualistami*, a to dlatego, że popołniają oni nadużycie, podając za prawa naukowe to, co w rzeczywistości jest tylko panującą ideologią. W czasach kolonialnych psychiatrzy prowadzili tak zwane ścisłe badania, aby udowodnić, że niższość Afrykanów (na przykład) wynika z anatomii i fizjologii ich mózgów. Przyczyniali się tym samym do podtrzymania burżuazyjnego humanizmu: wszyscy ludzie są równi *oprócz* kolonizowanych, którzy są ludźmi tylko z pozoru. Inne prace w taki sam sposób dowodziły niższości kobiet: ludzkość składała się z białych mężczyzn-burżujów.

3) Relacje klasowe automatycznie regulują selekcję techników wiedzy praktycznej. We Francji w tej kategorii społecznej prawie nie ma robotników, ponieważ syn robotnika ma ogromne trudności z ukończeniem studiów wyższych; znajduje się w niej więcej osób pochodzenia chłopskiego, ponieważ ostatnie migracje ze wsi zasiły warstwę drobnych urzędników w miastach. Ale są to przede wszystkim synowie drobnej burżuazji. System stypendialny (nauka jest bezpłatna, ale trzeba z czegoś żyć) pozwala władzy prowadzić taką lub inną politykę rekrutacji zależnie od okoliczności. Dodajmy, że nawet dla dzieci z klas średnich pole możliwości jest ściśle ograniczone przez rodzinne dochody. Sześć lat medycyny dla syna to często zbyt wielki ciężar dla budżetu niższych warstw klas średnich. Tak więc w życiu technika wiedzy praktycznej wszystko jest dokładnie określone. Pochodzi on na ogół ze średniej warstwy klas średnich, gdzie od wczesnego dzieciństwa wpaja mu się partykularną ideologię klasy panującej, a jego praca *tak czy owak* umieszcza go w klasie średniej. Znaczy to, że na ogół nie ma on żadnego kontaktu z klasami pracującymi, a jednak jest współodpowiedzialny za ich wyzysk przez patronat, ponieważ w każdym razie żyje z wartości dodatkowej. W tym sensie jego byt społeczny i jego los przychodzą do niego z zewnątrz: jest człowiekiem środków, człowiekiem-środkiem, człowiekiem klas środka; ogólne cele, do których odnoszą się jego działania, nie są *jego* celami

Właśnie na tym poziomie pojawia się *intelektualista*.

Wszystko bierze się stąd, że pracownik społeczny, z którego klasa panująca uczyniła technika wiedzy praktycznej, cierpi na kilku poziomach z powodu tej samej sprzeczności:

1) Jest on „humanistą” od wczesnego dzieciństwa, to znaczy kazano mu wierzyć, że wszyscy ludzie są równi. Tymczasem kiedy rozważa własną sytuację, zdaje sobie sprawę, że on sam jest dowodem na nierówność ludzkich możliwości. *Właściwa* społeczna, jaką posiada, płynie z jego wiedzy sprzężonej z praktyką. Ale, będąc synem komisarza, wysoko opłacanego urzędnika lub przedstawiciela wolnych zawodów, tę wiedzę w znacznym stopniu *odziedziczył*: kultura była w jego rodzinie, zanim się urodził, toteż urodzić się w tej rodzinie i urodzić się w kulturze wychodzi na jedno. A jeżeli pochodzi z klas pracujących, mógł odnieść sukces tylko dlatego, że złożony i *nigdy sprawiedliwy* system selekcji wyeliminował większą część jego kolegów. W każdym razie jest posiadaczem nieuzasadnionego przy-

wileju, nawet jeśli, a w pewnym sensie – zwłaszcza jeśli błyskotliwie przeszedł wszystkie próby i egzaminy. Ten przywilej – czyli monopol wiedzy – pozostaje w radykalnej sprzeczności z humanistycznym egalitaryzmem. Innymi słowy, powinien z niego zrezygnować. Ale ponieważ *jest* tym przywilejem, może z niego zrezygnować, tylko unicestwiając siebie, co klóci się z instynktem życia, tak głęboko zakorzenionym w większości ludzi.

2) Filozof XVIII wieku miał szanse bycia organicznym intelektualistą *swojej* klasy. To znaczy ideologia burżuazji – która podważała przestarzałe formy władzy feudalnej – zdawała się rodzić spontanicznie z ogólnych zasad badania naukowego. Była to iluzja wynikająca z faktu, że burżuazja, w przeciwieństwie do arystokracji, która podkreślała własną partykularność, odwołując się do krwi lub rasy, domagała się powszechności i uznawała samą siebie za klasę uniwersalną.

Dzisiaj ideologia burżuazyjna, która od początku przenika techników wiedzy praktycznej, dzięki procesowi kształcenia i nauczania „humanistycznych wartości”, okazuje się sprzeczna z inną konstytutywną częścią ich samych, z ich funkcją badaczy, to znaczy z ich wiedzą i z ich metodami: to dzięki tym ostatnim są oni uniwersalni, ponieważ poszukują uniwersalnego poznania i uniwersalnych praktyk. Ale jeżeli stosują swoje metody do badania klasy panującej i jej ideologii – która jest również *ich ideologią* – nie mogą przed sobą ukrywać, że jedna i druga są skrycie *partykularne*. W ten sposób w samych swoich badaniach odkrywają alienację, ponieważ są środkami celów, które pozostają im obce i których nie wolno im kwestionować. Ta sprzeczność nie płynie z nich, lecz z samej klasy panującej. (...) To ona bowiem ustanawia model sprzeczności czekającej na nich od dzieciństwa i czyniącej z nich ludzi sprzecznych, ponieważ partykularna ideologia posłuszeństwa wobec państwa, wobec pewnej polityki, wobec klas panujących wchodzi w nich w konflikt z duchem badacza – wolnym i uniwersalistycznym – który również jest im dany z zewnątrz, ale *później*, kiedy są już podporządkowani. Fałszywa uniwersalność od dzieciństwa przesłania im rzeczywistość społeczną, która polega na wyzyskiwaniu większości przez mniejszość; pod mianem humanizmu zakrywa się przed nimi prawdziwe położenie robotników i chłopów oraz walę klas; przez kłamliwy egalitaryzm zasłania się imperializm, kolonializm, rasizm, który jest ideologią tych praktyk. Kiedy podejmują oni wyższe studia, większość, od dzieciństwa, jest przepełniona ideologią niższości kobiet; wolność, zdobyta tylko przez burżuazję, jest im przedstawiana jako formalna powszechność, bo wszyscy głosują itd.; hasła pokoju, postępu, braterstwa z trudem maskują selekcję, która z każdego z nich czyni „człowieka konkurencyjnego”, imperialistyczne wojny, amerykańską agresję w Wietnamie itd. Ostatnio władza wpadła na pomysł, aby nauczyć ich i kazać powtarzać gadaninę o „dobrobycie”, ukrywając, że dwie trzecie ludzkości żyje w stanie chronicznego niedożywienia. Jeśli chcą oni nadać pozór jedności tym sprzecznym myślom, ograniczają tym samym swobodę badania przez idee jawnie fałszywe, zarzucają swo-

bodne myślenie naukowe i techniczne pod wpływem norm *niezwiązanych z badaniem*, a zatem wyznaczają zewnętrzne granice duchowi badawczemu, usiłując wierzyć i wmawiając innym, że rodzą się one z niego. Krótko mówiąc, myślenie naukowe i techniczne rozwija swoją uniwersalność tylko *pod kontrolą*; w ten sposób nauka podporządkowana partykularyzmowi, chociaż ma w sobie jądro uniwersalne, wolne i ścisłe, staje się ideologią. (...)

Technicy wiedzy są więc wytwarzani przez klasę panującą wraz z rozdzierającą ich sprzecznością: z jednej strony, jako płatni pracownicy i podrzędni funkcjonariusze nadbudowy, zależą bezpośrednio od przywódców (organizmów „prywatnych” lub państwa) i mieszczą się nieuchronnie na obszarze partykularności, jako pewna grupa trzeciego sektora; z drugiej strony, ponieważ ich specjalnością pozostaje uniwersalność, ci specjaliści z istoty kontestują partykularyzmy, które im wpojono i których nie mogą kontestować, nie kontestując siebie samych. Twierdzą, że nie ma „nauki burżuazyjnej”, a jednak ich nauka jest burżuazyjna ze względu na *swoje granice* i oni o tym wiedzą. Jest wszelako prawdą, że w konkretnym momencie badań pracują w stanie wolności, co czyni jeszcze bardziej gorzkim powrót do ich rzeczywistej sytuacji. (...)

Od tego momentu są dwie możliwości:

A. Technik wiedzy akceptuje panującą ideologię albo się do niej przystosowuje i ze złą wiarą oddaje uniwersalność w służbę partykularyzmu; stosuje autocenzurę, staje się *apolityczny, agnostyczny* itp. Może się również zdarzyć, że władza zmusza go przez naciski do rezygnacji z postawy kontestacyjnej: zrzeka się on swojej władzy kontestowania, co nie może się dokonać bez wielkiego uszczerbku dla jego funkcji praktycznej. W takim razie mówi się z satysfakcją, że „to nie jest intelektualista”.

B. Jeżeli stwierdza partykularny charakter swojej ideologii i nie jest w stanie nią się zadowolić, jeżeli uznaje, że w autocenzurze uwewnętrzniał zasadę autorytetu, jeżeli, chcąc usunąć swój niesmak i swoje okaleczenie, jest zmuszony zakwestionować ideologię, która go ukształtowała, jeżeli nie zgadza się na bycie podrzędnym agentem hegemonii i środkiem celów, których nie zna albo których nie wolno mu podważać, wówczas agent wiedzy praktycznej staje się potworem, to znaczy intelektualistą, *który zajmuje się tym, co go nie dotyczy* (na zewnątrz: zasadami, które rządzą jego życiem, od wewnątrz: przeżywaniem swojego miejsca w społeczeństwie) i o którym inni mówią, że *zajmuje się tym, co go nie dotyczy*.

W sumie każdy technik wiedzy jest *potencjalnym intelektualistą*, ponieważ jest określony przez sprzeczność będącą niczym innym jak stałą walką w nim między jego uniwersalistyczną techniką a panującą ideologią. Ale jeżeli technik staje się *faktycznym* intelektualistą, nie dzieje się tak w wyniku prostej decyzji: zależy to od jego osobistej historii, która mogła pogłębić charakteryzujące go napięcie, a w ostatniej instancji zespół czynników, dzięki którym dochodzi do transformacji, jest natury społecznej. (...)

Intelektualista jest więc człowiekiem, który uświadamia sobie opozycję, istniejącą w nim samym i w społeczeństwie, między poszukiwaniem praktycznej prawdy (ze wszystkimi normami, które ono zakłada) i panującą ideologią (z jej systemem tradycyjnych wartości). Chociaż to uświadczenie, *jeżeli ma być rzeczywiste*, musi dokonać się w intelektualistcie *najpierw* na poziomie jego aktywności zawodowej i jego funkcji, to jednak nie jest ono niczym innym jak odsłonięciem fundamentalnych sprzeczności społeczeństwa, to znaczy konfliktów klasowych, a w łonie samej klasy panującej organicznego konfliktu między prawdą, jakiej się ona domaga dla sukcesu swoich przedsięwzięć, a mitami, wartościami i tradycjami, które podtrzymuje i którymi chce zarazić inne klasy, aby zapewnić sobie hegemonię.

Będąc produktem rozdartych społeczeństw, intelektualista świadczy o nich, ponieważ uwewnętrznił ich rozdarcie. Jest więc produktem historycznym. W tym sensie żadne społeczeństwo nie może narzekać na swoich intelektualistów, nie oskarżając samego siebie, bo ma tylko takich, jakich samo wytwarza.

Funkcja intelektualisty

Zdefiniowaliśmy intelektualistę w jego *egzystencji*. Pomówmy teraz o jego *funkcji*. Czy w ogóle pełni on jakąś funkcję? Jest przecież jasne, że nikt nie dał mu mandatu na jej sprawowanie. Nie zrobiła tego klasa panująca, bo chce ona widzieć w nim tylko technika wiedzy i drobnego funkcjonariusza nadbudowy. Klasy upośledzone także nie mogą go powołać, bo wywodzi się on ze specjalisty prawdy praktycznej, a taki specjalista rodzi się z opcji klasy panującej, to znaczy z części wartości dodatkowej, jaką ta ostatnia przeznacza na jego wytworzenie. Co do klas średnich – do których należy – to chociaż cierpią one na początku z powodu tych samych sprzeczności, w samych sobie urzeczywistniając rozdźwięk między burżuazją i proletariatem, ich sprzeczności nie są przeżywane jako sprzeczność między mitem a wiedzą, między partykularyzmem i uniwersalizmem, toteż intelektualista nie może od nich uzyskać mandatu pozwalającego owe sprzeczności wyrazić.

Powiedzmy, że charakteryzuje się on właśnie tym, że nie otrzymał mandatu od nikogo, a jego status nie został mu nadany przez żadną władzę. Intelektualista jako taki nie powstaje w wyniku decyzji – jak lekarze, profesorowie itd., będący agentami władzy – ale jest monstrualnym produktem monstrualnych społeczeństw. Nikt nie domaga się jego istnienia, nikt go nie uznaje (ani państwo, ani elity władzy, ani grupy nacisku, ani aparaty klas wyzyskiwanych, ani masy); można być wrażliwym na to, co *mówi*, ale nie na jego istnienie. Kiedy człowiek otrzymuje jakieś zalecenie dotyczące diety, mówi z rodzajem dumy: „Powiedział mi to *mój* lekarz”, natomiast kiedy jakiś argument intelektualisty znajduje posłuch i zostaje podjęty przez tłumy, jego wartość ukazuje się *sama w sobie*, bez związku z oso-

bą, która sformułowała go po raz pierwszy. Staje się argumentem *anonimowym*, wydaje się argumentem *wszystkich*. Intelktualista zostaje zniesiony przez sposób, w jaki korzysta się z jego wytworów.

Nikt zatem nie przyznaje mu najmniejszych nawet praw i żadnego statusu. Albowiem w rzeczy samej jego istnienie jest czymś nie do przyjęcia i nie uznaje go nawet sam intelektualista, który postrzega siebie tylko jako niemożność bycia czystym technikiem wiedzy w naszych społeczeństwach. Taka definicja czyni z intelektualisty człowieka najbardziej wyzuteego, pozbawionego wszelkich przywilejów: nie może on należeć do elity, bo w punkcie wyjścia nie dysponuje żadną *wiedzą*, a zatem też żadną *władzą*. Nie rości sobie pretensji do nauczania, chociaż często wywodzi się spośród nauczycieli, ponieważ na początku jest *ignorantem*. Jeżeli jest profesorem lub uczonym, *wie* pewne rzeczy, nawet jeśli nie potrafi ich wywieść z prawdziwych zasad, ale jako intelektualista *szuka*. Brutalne lub subtelne ograniczenia uniwersalności przez partykularyzm oraz prawdy przez mit, w którym zdaje się ona być zawieszona, czynią z niego *poszukiwacza*. Najpierw bada *samego siebie*, aby przekształcić w harmonijną całość spreczny byt, który został mu narzucony. Ale nie może to być jego jedyny przedmiot, bo może on odkryć własny sekret i rozwiązać własną sprzeczność tylko wtedy, gdy bada całe społeczeństwo, którego jest wytworem, jego ideologię, jego struktury, jego opcje, jego *praxis*, stosując ściśle metody, które służą mu jako specjaliście od wiedzy praktycznej: wolność badania (i kontestacji), rygor postępowania i dowodów, poszukiwanie prawdy (odślanianie Bytu i jego konfliktów), uniwersalność uzyskanych wyników. Jednak te abstrakcyjne cechy nie wystarczają do ustanowienia metody odpowiedniej dla właściwego przedmiotu intelektualisty. Albowiem specyficzny przedmiot jego badania jest w istocie podwójny, a jego dwa aspekty są względem siebie odwrotne i komplementarne: musi on uchwycić samego siebie w społeczeństwie, które go wytwarza, to zaś możliwe jest tylko wtedy, gdy studiuje globalne społeczeństwo, które w pewnym momencie wytwarza intelektualistów. Stąd ruch nieustannego odwracania: odsyłanie od siebie do świata i od świata do siebie, dzięki czemu nie sposób pomylić przedmiotu dociekań intelektualisty z przedmiotem antropologii. Nie może on bowiem rozważać całości społecznej w sposób *obiektywny*, ponieważ odnajduje ją w samym sobie jako swoją zasadniczą sprzeczność, ale nie może również poprzestać na tylko *subiektywnym* zakwestionowaniu samego siebie, ponieważ należy do określonego społeczeństwa, które go wytworzyło. Te uwagi prowadzą nas do wniosku, że:

1) Przedmiot jego dociekania wymaga specjalnej korekty abstrakcyjnej metody, o której mówiliśmy wyżej, trzeba bowiem, aby w tym nieustannym odwracaniu punktu widzenia, jakiego wymaga rozwiązanie precyzyjnej sprzeczności, oba momenty – uwewnętrzniona zewnętrżność, ponowne uzewnętrznienie wewnętrzności – były ściśle ze sobą związane. Ten związek sprzecznych terminów jest niczym innym jak *dialektyką*. Chodzi o metodę, której intelektualista nie może na-

uczać, bo kiedy dostrzega on swoją nową sytuację i chce znieść swoją „trudność istnienia”, nie zna procedury dialektycznej: stopniowo narzuci mu ją jego przedmiot, ponieważ jest to przedmiot o podwójnym obliczu, z których każde odsyła do drugiego; ale również u kresu swojego badania intelektualista nie ma ścisłej wiedzy o narzucającej się mu metodzie.

2) W każdym razie dwuznaczność jego przedmiotu oddala intelektualistę od *abstrakcyjnej uniwersalności*. W rzeczywistości błąd „filozofów” polegał na tym, że sądzili oni, iż mogą bezpośrednio zastosować uniwersalną (i analityczną) metodę do badania społeczeństwa, w którym żyli, gdy tymczasem właśnie *w nim żyli* i ono ich historycznie warunkowało w taki sposób, że przesady jego ideologii przenikały do ich pozytywnego badania, a nawet do woli ich zwalczania. Powód tego błędu jest jasny: byli oni *intelektualistami organicznymi*, pracującymi dla tej samej klasy, która ich wytworzyła, toteż ich uniwersalność była tylko fałszywą uniwersalnością klasy mieszczańskiej biorącej się za klasę uniwersalną. Dlatego kiedy szukali człowieka, odkrywali tylko burżuja. Prawdziwe dociekanie intelektualne, jeżeli chce wydobyć prawdę spod zasłaniających ją mitów, wymaga zapośredniczenia dociekań przez szczególność dociekającego. Musi on usytuować *siebie* w uniwersum społecznym, aby uchwycić i zniszczyć, w sobie i poza sobą, granice ideologii narzucone wiedzy. Dialektyka uwewnętrznienia i uzewnętrznienia może działać na poziomie *sytuacji*, a myśl intelektualisty musi się nieustannie zwracać w stronę samej siebie, aby ujmować się zawsze jako *szczególna uniwersalność*, to znaczy uniwersalność sekretnie uszczegółowiona przez przesady klasowe wpajane od dzieciństwa, chociaż przekonana, że jest od nich wolna. Nie wystarczy (aby odwołać się tylko do jednego przykładu) zwalczać *rasizm* jako ideologię imperializmu za pomocą uniwersalnych argumentów wziętych z wiedzy antropologicznej: te argumenty mogą przekonać na poziomie uniwersalności, ale rasizm jest konkretną postawą życia codziennego. W konsekwencji można szczerze głosić uniwersalny dyskurs antyrasistowski, a w głębokich pokładach siebie, związanych z dzieciństwem, pozostawać rasistą, tym samym zaś zachowywać się jak rasista, nie widząc tego, w życiu codziennym. Intelektualista niczego więc nie osiągnie, nawet jeśli wykaże aberracyjny aspekt rasizmu, jeżeli nie będzie stale powracał do samego siebie, aby zniszczyć rasizm wywodzący się z dzieciństwa za pomocą rygorystycznej analizy tego „niezrównanego monstrum”, jakim jest jego *ja*.

Na tym poziomie intelektualista, choć ze względu na swoją pracę jako technika wiedzy, ze względu na swoje zarobki i swój poziom życia, wciąż pozostaje wyselekcjonowanym drobnomieszczaninem, i za takiego się uważa, musi zwalczać swoją klasę, która pod wpływem klasy panującej z konieczności odtwarza w nim burżuazyjną ideologię, drobnomieszczańskie myśli i uczucia. Intelektualista jest więc technikiem uniwersalności, który dostrzega, że w jego własnej dziedzinie uniwersalność nie istnieje w gotowej postaci, że nieustannie pozostaje czymś *do zrobienia*. Jednym z niebezpieczeństw, jakich intelektualista powinien unikać,

jeżeli chce posuwać się naprzód w swoim przedsięwzięciu, jest pokusa pochopnego uznawania pewnych idei za uniwersalne. Widziałem takich, którzy, pospiesznie wznosząc się na poziom uniwersalności, potępiali w czasie wojny z Algierią algierskie zamachy terrorystyczne w taki sam sposób jak francuską represję. Jest to idealny typ fałszywej burżuazyjnej uniwersalności. Należało zrozumieć, przeciwnie, że powstanie w Algierii, powstanie biedaków bez armii, osaczonych przez policyjny reżym, nie mogło nie wybrać partyzanckich zasadzek i bomby. Toteż intelektualista, w walce z samym sobą, musi widzieć w społeczeństwie walkę poszczególnych grup, z których każda ma właściwe sobie interesy, oraz ich miejsce i możliwą rolę w stawianiu się tego, co uniwersalne. W przeciwieństwie do myślenia burżuazyjnego musi zdawać sobie sprawę z tego, że *człowiek nie istnieje*. Ale tym samym, wiedząc, że on sam nie jest jeszcze człowiekiem, powinien dostrzegać – w sobie samym i poza sobą – człowieka jako *zadanie*. Jak mówił Ponge: człowiek jest przyszłością człowieka. Przeciwno burżuazyjnemu humanizmowi świadomość intelektualisty pokazuje mu zarazem jego szczególność i człowieka jako odległy cel codziennego praktycznego działania. (...) To znaczy, że chce on wytworzyć, na ile jest to możliwe, w sobie samym oraz w innych ludziach, prawdziwą jedność osoby; chce, aby każdy stał się panem celów, które są mu dziś narzucane (stając się tym samym celami obcymi), chce zniesienia alienacji i rzeczywistej wolności myślenia, zniesienia *na zewnątrz* zakazów społecznych związanych ze strukturą klasową, a *od wewnątrz* – zahamowań i autocenzury. Tym, co odrzuca, jest mentalność *klasowa*. (...) Jeżeli coś kontestuje, to tylko ideologię (i jej konsekwencje *praktyczne*) w tej mierze, w jakiej ideologia, niezależnie od tego, skąd pochodzi, jest zakłamanym i mętным substytutem świadomości klasowej. Jego kontestacja jest więc tylko *negatywnym momentem praxis*, której nie jest w stanie przedsięwziąć sam, która może zostać skutecznie podjęta tylko przez ogół klas uciskanych i wykorzystywanych i której sensem pozytywnym – nawet jeżeli widać go tylko niewyraźnie – jest nadejście w odległej przyszłości społeczeństwa ludzi wolnych. (...)

4) Najbardziej bezpośrednim wrogiem intelektualisty jest ten, kogo nazwę *fałszywym* intelektualistą, a którego Nizan nazywał psem stróżującym, który służy klasie panującej, broniąc partykularnej ideologii za pomocą rzekomo ścisłych argumentów, to znaczy takich, które są ukazywane jako wytwór ścisłych metod. Mają oni tyle wspólnego z prawdziwymi intelektualistami, że, podobnie jak tamci, są pierwotnie technikami wiedzy praktycznej. Uproszczeniem byłoby wyobrażać sobie, że fałszywy intelektualista jest przede wszystkim *sprzedajny*. Powiedzmy, iż niektórzy podrzędni funkcjonariusze nadbudowy czują, że ich interesy są związane z interesami klasy panującej – co jest prawdą – i chcą czuć tylko to, eliminując tym samym *przeciwieństwo*, które jest równie prawdziwe. Innymi słowy, nie chcą brać pod uwagę alienacji ludzi, którymi są albo którymi mogliby być, lecz jedynie władzę funkcjonariuszy (którymi są także). Przybierają więc postawę in-

tektualisty i tak jak on zaczynają podważać ideologię klasy panującej, ale jest to kontestacja zwodnicza i prowadzona w taki sposób, aby się samoistnie wyczerpać, pokazując tym samym, że panująca ideologia opiera się wszelkiej kontestacji. Innymi słowy, fałszywy intelektualista nie mówi *nie*, jak prawdziwy; uprawia swoje „nie, ale...” albo „wiem dobrze, a mimo to...”. Te argumenty mogą zbijać z tropu prawdziwego intelektualistę, który ze swej strony ma aż zbyt wielką skłonność – jako funkcjonariusz – do ich wysuwania i do przeciwstawiania ich potworowi, którym jest, aby go usunąć na rzecz czystego technika. Jednak z konieczności musi je odrzucać, ponieważ właśnie jest *już* potworem, którego nie mogą one przekonać. Oddala więc argumenty „reformistyczne”, a postępując tak, staje się coraz bardziej *radykałny*. W gruncie rzeczy radykalizm i przedsięwzięcie intelektualisty stanowią jedno, a „umiarkowane” argumenty reformistów tylko popychają intelektualistę na tę drogę, pokazując mu, że trzeba kontestować same zasady klasy panującej – albo służyć jej, udając, że się ją kontestuje. (...) Intelektualny radykalizm stale się zaostrza pod wpływem argumentów i postawy fałszywych intelektualistów: w dialogu między fałszywymi i prawdziwymi argumenty reformistyczne i ich rzeczywiste rezultaty (*status quo*) nieuchronnie prowadzą prawdziwych intelektualistów do stawania się rewolucjonistami, rozumieją oni bowiem, że reformizm jest dyskursem podwójnie użytecznym: służy klasie panującej, a zarazem pozwala technikom wiedzy praktycznej zachować pozorny dystans wobec swoich pracodawców, to znaczy wobec tej właśnie klasy.

Wszyscy ci, którzy *już dzisiaj* zajmują uniwersalistyczny punkt widzenia, działają *uspokajająco*, utożsamiając uniwersalność z działaniem fałszywych intelektualistów. Prawdziwy intelektualista – to znaczy ten, kto z niepokojem odkrywa w sobie potwora – niepokoi, twierdząc, że ludzka uniwersalność pozostaje *do zrobienia*. (...) To przez wzgląd na postawę fałszywych intelektualistów uważa się – jak mówiłem w poprzednim wykładzie – że intelektualiści są moralistami i idealistami, którzy *moralnie* potępiają wojnę i w świecie pełnym przemocy marzą o nastaniu idealnego pokoju – który nie jest jednak nowym ludzkim porządkiem, ustanowionym przez zakończenie wszelkich wojen dzięki zwycięstwu ciemionych, lecz raczej ideą pokoju zstępującą z nieba. Prawdziwy intelektualista, będąc radykałem, nie jest jednak ani moralistą, ani idealistą. Wie, że trwały pokój w Wietnamie będzie kosztował wiele łez i krwi, wie, że zacznie się on od wycofania oddziałów amerykańskich i od ustania bombardowań, *a więc* od klęski Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy, natura jego sprzeczności zmusza intelektualistę do *angażowania się* we wszystkie konflikty naszych czasów, ponieważ wszystkie one – konflikty klasowe, narodowe lub rasowe – są szczególnymi efektami ucisku klas upośledzonych przez klasę panującą i przy okazji każdego z nich odkrywa on, że sam jest uciskany, i staje po stronie uciskanych.

Powtórzmy jednak, że postawa intelektualisty nie jest postawą *naukowca*. Po omacku stosuje on rygorystyczną metodę do nieznanych przedmiotów, które de-

mistyfikuje, demistyfikując jednocześnie samego siebie; prowadzi praktyczną akcję odsłaniania prawdy, zwalczając ideologie i obnażając przemoc, którą one maskują lub uzasadniają; pracuje z myślą o tym, aby pewnego dnia stało się możliwe społeczeństwo uniwersalne, w którym ludzie będą *naprawdę* wolni, równi i zbratani, pewny, że tego dnia, ale nie wcześniej, intelektualista zniknie, a ludzie będą mogli zdobyć prawdziwą wiedzę i wolność, których on się domaga. Na razie szuka i nieustannie się myli, za nic przewodnią mając tylko swój dialektyczny rygor i swój radykalizm.

Intelektualista i masy

Intelektualista jest samotny, ponieważ nikt nie wyposażył go w mandat. Wszelako – i na tym polega jedna z jego sprzeczności – nie może się wyzwolić sam, lecz tylko wraz z innymi. Każdy bowiem człowiek ma swoje własne cele, które są mu nieustannie *kradzione* przez system, a ponieważ alienacja rozciąga się również na klasę panującą, nawet jej członkowie pracują dla nieludzkich celów, które nie są ich własnymi celami, to znaczy przede wszystkim dla *zysku*. Dlatego intelektualista, rozumiejąc, że jego własna sprzeczność jest szczególnym wyrazem obiektywnych sprzeczności, solidaryzuje się z każdym człowiekiem, który walczy za siebie i za innych przeciwko tym sprzecznościom.

Nie można sobie jednak wyobrazić, że intelektualista wykona swoje zadanie, po prostu *studiując* ideologię, którą mu wpojono (na przykład poddając ją zwykłym metodom krytycznym). W rzeczywistości jest to *jego* ideologia, przejawia się ona jednocześnie jako jego sposób życia (w tej mierze, w jakiej jest on *rzeczywiście* członkiem klas średnich) i jako jego *Weltanschauung*, to znaczy jako para filtrujących szkielec, które założył sobie na nos i przez które widzi świat. Sprzeczność, która go rozdziera, jest najpierw przeżywana jako cierpienie. Aby na nią *spojrzeć*, musiałby się w stosunku do niej *zdystansować*, ale tego nie potrafi zrobić bez pomocy. W istocie ten historyczny aktor, całkowicie uwarunkowany przez okoliczności, jest dokładnym przeciwieństwem *świadomości patrzącej z wysoka*. Gdyby chciał przenieść się w przyszłość, aby siebie poznać (tak jak możemy poznać społeczeństwa przeszłości), totalnie chybiłby celu, bo nie zna przyszłości, a jeżeli jakąś jej część odgaduje, robi to na podstawie tkwiących w nim przesądów, a więc na gruncie sprzeczności, od której chciał się oderwać. Gdyby chciał umieścić się w sposób idealny poza społeczeństwem, aby osądzić ideologię klasy panującej, w *najlepszym razie* zabrałby ze sobą własną sprzeczność, a w najgorszym razie utożsamiłby się z wielką burżuazją, która (w sensie ekonomicznym) *góruje* nad klasami średnimi i pochyla się nad nimi, tym samym zaś zaakceptowałaby bez sprzeciwu jej ideologię. Aby zrozumieć społeczeństwo, w którym żyje, intelektualista ma zatem tylko jedną możliwość: musi zająć punkt widzenia najbardziej pokrzywdzonych.

Nie reprezentują oni uniwersalności, bo ta nie istnieje nigdzie, ale *ogromną większość*. Są partykularni z powodu ucisku i wyzysku, które czynią z nich wytwory ich własnych wytworów, kradnąc im ich cele (dokładnie tak samo jak technikom wiedzy praktycznej) i przekształcając ich w szczególne środki produkcji; ich walka przeciwko tej absurdalnej partykularyzacji prowadzi ich również do ujmowania tego, co uniwersalne, ale nie do uniwersalności burżuazji – kiedy uważa się ona za klasę uniwersalną – lecz do konkretnej uniwersalności pochodzenia negatywnego, zrodzonej z likwidacji partykularyzmów i możliwej dzięki społeczeństwu bezklasowemu. Jedyne realne sposoby zdystansowania się wobec ideologii zadekretowanej z góry – to stanąć po stronie tych, których sama egzystencja tej ideologii przeczy. Proletariat robotniczy i wiejski przez sam fakt swojego istnienia odślania prawdę, że nasze społeczeństwa są partykularne i klasowe; istnienie dwóch miliardów ludzi niedożywionych w populacji liczącej trzy miliardy to kolejna fundamentalna prawda o naszych aktualnych społeczeństwach – właśnie *to*, a nie głupstwo wymyślone przez fałszywych intelektualistów (społeczeństwo dobrobytu). Klasy wyzyskiwane – chociaż stopień ich uświadomienia jest *zmienny* i chociaż mogą być głęboko przeniknięte ideologią burżuazyjną – charakteryzują się *obiektywną inteligencją*. Ta inteligencja nie jest żadnym darem, lecz rodzi się z ich *punktu widzenia* na społeczeństwo, jedyne radykalne, niezależnie od uprawianej przez nie *polityki* (która może być polityką rezygnacji, godności lub reformizmu, ponieważ obiektywna inteligencja jest zmacona przez wpływ wartości wpajanych przez klasę panującą). Ten obiektywny punkt widzenia rodzi *myśl ludową*, która ujmuje społeczeństwo, wychodząc od tego, co podstawowe, to znaczy od najniższego poziomu, który najłatwiej ulega radykalizacji, od poziomu, z którego widać klasy panujące i klasy wchodzące z nimi w sojusz, w swego rodzaju *przekroju podłużnym*, od dołu do góry, nie jako elity kulturalne, ale jako grupy olbrzymich posągów, których cokol całym swoim ciężarem przygniata klasy, dzięki którym odtwarza się życie... Jest to myśl radykalna i prosta, i gdyby intelektualista mógł ją przejąć na własne konto, ujrzałby się na *swoim prawdziwym miejscu*, zobaczyłby się od dołu do góry, odkrywając, że jest kimś, kto odwraca się od swojej klasy, a jednak jest przez nią podwójnie uwarunkowany (ponieważ z niej się wywodzi i stanowi ona jego psychospołeczny *background* i ponieważ znowu się w nią wpisuje jako technik wiedzy) i kto całym swoim ciężarem przygniata klasy ludowe, ponieważ jego pobory i honoraria są ściągane z wartości dodatkowej, którą one wytwarzają. Poznałby jasno dwuznaczność swojej pozycji i gdyby do tych podstawowych prawd odniósł rygorystyczne metody dialektyki, przez klasy ludowe poznałby prawdę o społeczeństwie burżuazyjnym, i porzucając pozostające w nim resztki reformistycznych złudzeń, stałby się radykalnym rewolucjonistą, rozumiejąc, że masy nie mogą zrobić nic innego niż zburzyć idole, które je przytłaczają. Od tej chwili jego nowym zadaniem byłaby walka z nieustannym odradzaniem się w *ludzie* paraliżujących go ideologii.

Ale na tym poziomie pojawiają się nowe sprzeczności. (...) Jeżeli uznajemy, że intelektualista, nie będąc organicznym wytworem klas upośledzonych, chce w każdym razie dołączyć do nich, aby przyswoić sobie ich obiektywną inteligencję i aby swoim ścisłym metodom dać zasady sformułowane przez myśl ludową, to musimy też przyznać, że natychmiast i *śluszenie* spotyka się on z nieufnością tych, do których chce się przyłączyć. W rzeczywistości nieuniknione jest to, że robotnicy widzą w nim członka klas średnich, to znaczy klas, które z definicji współpracują z burżuazją. Intelektualista jest więc oddzielony barierą od ludzi, których punkt widzenia chce zająć, bo jest to punkt widzenia *uniwersalizacji*. Jest to zarzut, który często mu się stawia, argument władzy, klas panujących i klas średnich, wysuwany przez fałszywych intelektualistów, którzy są na ich żołądź: jak wy, drobnomieszczanie od dzieciństwa wychowani w kulturze burżuazyjnej i należący do klas średnich, macie czelność sądzić, że reprezentujecie *obiektywnego ducha* klas pracujących, z którymi nie macie kontaktu i które wcale was nie chcą? Istotnie, wydaje się, że mamy tu do czynienia z błędnym kołem: aby walczyć z partykularyzmem panującej ideologii, należałoby zająć punkt widzenia tych, których samo istnienie przeczy tej ideologii. Ale aby zająć ten punkt widzenia, należałoby nigdy nie być drobnomieszczaninem, ponieważ nasze wychowanie zaraziło nas w punkcie wyjścia i aż do szpiku kości. A ponieważ to właśnie sprzeczność między partykularną ideologią a uniwersalizującą wiedzą czyni z drobnomieszczanina intelektualistę, należałoby *nie być intelektualistą*.

Intelektualiści są doskonale świadomi tej nowej sprzeczności; często rozbijają się o nią i nie idą dalej. Albo dlatego, że stają się *zbyt pokorni* wobec klas wyzyskiwanych (stąd stała pokusa, aby *nazywać się* lub *stawać się* proletariuszami), albo stają się podejrzliwi wobec siebie nawzajem (każdy z nich podejrzewa, że idee drugiego są skrycie uwarunkowane przez ideologię burżuazyjną, ponieważ sam jest drobnomieszczaninem *wodzionym na pokuszenie* i w innych intelektualistach widzi odbłask siebie samego), albo, zrozpaczeni z powodu nieufności, jakiej są przedmiotem, robią krok do tyłu i, nie mogąc stać się na powrót zwykłymi technikami wiedzy, stają się *fałszywymi intelektualistami*.

Wstąpienie do partii masowej – co jest kolejną pokusą – nie rozwiązuje problemu. Nieufność pozostaje; bez przerwy odradzają się dyskusje dotyczące znaczenia intelektualistów i teoretyków w Partii. (...) Jeżeli więc drobnomieszczaninscy intelektualiści czują się zmuszeni pod wpływem swoich wewnętrznych sprzeczności działać na rzecz klas pracujących, muszą im służyć na własne ryzyko. Będą mogli być ich teoretykami, ale nigdy ich organicznymi intelektualistami, tak że właściwa im sprzeczność, choć oświetlona i zrozumiana, utrzyma się do końca: jest to dowód, że, jak mówiliśmy, nie mogą oni uzyskać mandatu od *nikogo*.